

DWA ZMARTWYCHWSTANIA *)

W Wielką Sobotę odzywa się w Rzymie najpierw papieski dzwon z bazyliki św. Piotra a dopiero na to hasło zaczyna się muzyka setek i tysięcy innych dzwonów, wzbijając się w niebo jak niezrównana, dźwiękowa zawierucha. Wszystko tam gra i śpiewa. Odzywają się nawet odwieczne, rdzą stoczone klekotki i z kiepskiego metalu ulane skopki, wnosząc w cudną harmonię trochę wrzawy i zgiełku. Kto umie zjawiska przestrzenne przenosić wyobraźnią i sercem na fale czasu, dosłyszcy w nich głosy wieków, co się zrodziły u grobu Chrystusowego, a potem już szły do nas nieprzerwanie, zabierając ze sobą po drodze całe dzieje chrześcijaństwa.

I.

Rozpoczęło się wszystko u grobu Chrystusowego. Zmarł, nie żyje, *consummatum est*, dokonało się, wszystko się skończyło — wołali triumfalnie jedni, szeptali ze smutkiem inni. Odzywali się z radością Piłat i Herod, Sanhedryn i wszystkie wrogie Chrystusowi duchy, bo wreszcie usunął im się z drogi ten, który wnosił niepokój w ich własne dusze i rwał za sobą tłumy. Byli by Go chętnie przyjęli, gdyby był jako jeden z nich, ale On był inny, całkiem inny i dlatego wołali z radością: *consummatum est*, nareszcie wszystko się skończyło. Ze smutkiem powtarzali to samo inni, gdyż i oni mniemali, że Chrystus będzie myślał jak wszyscy, że złamie jarzmo rzymskie i sam weźmie w ręce władzę polityczną a apostołów powoła na naczelne urzędy.

Consummatum est, skończyło się, powtarzano jeszcze z radością lub smutkiem przez całą dobę, gdy nagle zaczęły się odzywać głosy inne: nic się nie skończyło, wszystko dopiero się zaczyna, Chrystus żyje, Chrystus zmartwychwstał, prawdziwie zmartwychwstał. Rozchodziła się wieść zrazu nieśmia-

*) Tygodnik Powszechny, r. 1945, nr 2.

łym szeptem, ale z każdą chwilą rosła w siłę i odwagę, dotarła do Sanhedrynu i Piłata. Przynieśli ją najpierw żołnierze z rzymskiej straży, a potem niewiasty i apostołowie i setki takich, którzy sami widzieli, słyszeli a nawet rękami dotykali. Przepłacono żołnierzy, by milczeli, ale ani apostołów ani rzesz do milczenia zmusić się nie dało.

Gdy chodzi o wielkie sprawy, ocenia się głosy według ich liczby i wagi. Głosy o zmartwychwstaniu rosły z dnia na dzień. W pierwszym liście do Koryntian mówi św. Paweł, że Zmartwychwstałego widziało kiedyś pięćset świadków, z których jeszcze wielu żyje w tej chwili, kiedy list swój pisze. Pisał go koło 59-go roku, a więc w 30 lat po wypadkach na Golgocie; pisał go wtenczas, kiedy gminy chrześcijańskie wyrastały jak kwiaty wszędzie, gdzie spoczęła stopa apostoła. Po Zielonych Świątkach odezwał się św. Piotr do zebranych rzesz o Zmartwychwstałym i doprowadził 3000 do wody chrztu. Przemówił drugi raz o zmartwychwstaniu Pańskim i nowych 5000 zaczęło wołać; nic się nie skończyło, wszystko się dopiero zaczyna. Już się poczęło ziarno gorczycy rozrastać w cudowny krzew; już treść Ewangelii poczęła przerabiać niezliczone dusze, jak kwas przerabia każdą miarę mąki.

Ważniejszą od liczby jest jednak siła głosu. Powiedział kiedyś Pascal, że wierzy temu, który na świadectwo jakiejś myśli da się sam udławić. Krew nie woda i dlatego się jej lekkomyślnie nie wylewa. Za Nowy Testament, za jego treść, a zwłaszcza za świadectwo o zmartwychwstaniu połała się krew św. Szczepana i wszystkich apostołów. Cośmy widzieli, cośmy słyszeli, tego nie mówić nie możemy, — powtarzali przed trybunałem. Krew nie woda. Skrwawioną, męczeńską dłonią podał św. Jan Ewangelię swemu uczniowi, św. Ignacemu z Antiochii, św. Ignacy podał ją św. Polikarpowi, św. Polikarp podaje ją męczennikom, którzy od III wieku idą aż do naszych dni w nieprzerwanym nigdy szeregu. Pascal wierzył temu, co się dał udławić na świadectwo prawdzie; także my wierzymy tym, którzy dali się udławić za prawdę zmartwychwstania.

Głosy z nad grobu Chrystusowego nigdy już nie umilkły. *Consummatum est*, nareszcie wszystko się skończyło, — wołano

tyłe razy poprzez dzieje chrześcijaństwa; wołano w dniu pierwszych prześladowań, wołano w strasznych latach wędrówek ludów, wołano w *saeculum obscurum*, w makabryczny wiek X, wołano tak na pograniczu humanizmu i reformacji, wołano tak w niektórych krajach w drugiej połowie wieku oświecenia, wołano jeszcze wczoraj w zwycięskich zrazu szykach hitlerowskiej armii. Jeszcze nie przebrzmiały te głosy, a już rozpoczynały się znowu głosy inne, zrazu jakby nieśmiałe i słabe, ale potem rosły w siłę i odwagę, bo rozpoczynał się renesans życia religijnego, katolickiego. O palmie i o swoim zakonie piszą Benedyktyni: *succisa virescit*, zielenieje, ilekroć ją się podetnie; inni powiadają o niej: *sub pondere crescit*, rozrasta się pod naciskiem i uciskiem. Nowa męczeńska krew musi z czasem użyźnić starzejącą się glebę, by z niej urosły nowe łany dla Chrystusa.

Prawdziwe odrodzenie idzie zawsze z własnych, wewnętrznych sił, a nigdy pod naciskiem obcych czynników. Ale skąd naciski i uciski? Nie mógł kiedyś zrozumieć Sanhedryn słów św. Jana: tak Bóg ukochał świat, iż Syna swego dał; nie może czasem zrozumieć współczesny człowiek, że ze swej strony odwieczny Logos tak ukochał świat, że siebie samego dał. Trzeba w takich chwilach krwi męczenników jako ziarna pod przyszłe łany. Jeżeli tak, to świeżo rozlana krew tysięcy na świadectwo Zmartwychwstałemu woła na świat silnym głosem: nic się nie skończyło, wszystko dopiero się rozpoczyna.

II.

Consummatum est, skończyło się z Polską — nie na tysiąc lat, lecz na zawsze, — odzywała się cała Trzecia Rzesza. Nie zabrakło Hitlerowi i Frankowi daru obelżywego słowa tak, iż wypowiedzieli swe dusze aż do dna, aż do tych głębin podświadomości, w których Freud odkrywa tajne zwyrodnienia. Wypowiedziano się aż do dna i dlatego wiadomo, co z nami zrobiono i co zrobić zamierzano: mieliśmy jako państwo i jako naród zejść na zawsze do grobu. Wiedzano, że człowiek nie tylko chlebem żyje, więc zabrano się do religii i do polskiej kultury.

Nie chciano jeszcze drażnić włoskiego sprzymierzeńca i państw neutralnych, więc nie uderzano jeszcze u nas w Kościół, chociaż diabła w zanadrzu noszono. W obozie w Sachsenhausen oddzielono nas, księży, od świeckich kolegów, żebyśmy na nich religijnie nie wpływali i wkradano się w nasze dusze, by je zarazić zwątpieniem. Kierownik pracy w obozie zjawił się kiedyś w naszym księżym baraku i rozsiadłszy się wygodnie, zaczął naśladować Hitlera i Franka w obelżywych słowach. Takich jak my świat już nie potrzebuje. Tacy jak my wymrą doszczętnie i wymrze z nami chrześcijaństwo. Rozbije się w gruzy kościoły a zachowa się tylko te, które są dowodem artystycznej twórczości niemieckiego ducha. Zrobi się z nich muzealną pamiątkę tego, co było i już nigdy nie odżyje.

Z Polską się skończyło, więc skończyć się także musi z jej religią, z jej sztuką, nauką i przeszłością. Raniono naszą duszę w miejscach najczulszych, niszczone rękopisy i druki, które świadczyły o jakiegokolwiek naszej zdolności. Palono dawną Polskę w jej pomnikach i palono Polskę żywą w jej najlepszych i najmłodszych przedstawicielach. Siła militarna Trzeciej Rzeszy stanęła jako straż u naszego grobu, jak wielki kamień stanął u grobu Chrystusowego. Nasze życie cofało się z powierzchni w podziemne katakumby i zaczęło się gotować do nowej z Rzeszą rozprawy. Z podziemi naszego życia, z głębin naszych dusz zaczęło coraz głośniejsze pobrzmiwać: nic się nie skończyło, wszystko na nowo się rozpoczyna. Kamień z naszego grobu odwalimy my, razem ze sprzymierzeńcami, my z naszym wojskiem, na ziemi i na morzu i w przestworzach powietrznych; odwalimy go razem ze sprzymierzeńcami, z Czerwoną Armią.

Nic się nie skończyło, wszystko dopiero się zaczyna. Buduje się nowa Polska, ta, która ma być szczerze demokratyczną. Nie mogło i nie powinno być inaczej. Polska powinna być taką, żeby ją wszyscy kochali i wszyscy stali na jej straży. Jaka do tego prowadzi droga? Zajrzeć do Summy Teologicznej św. Tomasza (I-II, q. 105, a. 1) a wyczyta się, że tylko wtedy wszyscy kochają i stoją na straży ustroju państwowego, kiedy wszyscy uczestniczą we władzy. Bez tego kardynalnego wa-

runku wszelkiej demokracji o miłości i wiernej straży mowy być nie może. Będziemy Ją więc kochali w pocie naszego czoła, w utrudzeniu naszych ramion, będziemy jej strzegli u wszystkich jej granic.

Nic się z nami nie skończyło, lecz wszystko dopiero się rozpoczyna. Niektórzy filozofowie dziejów zaczynają wprowadzać symbole geometryczne do swych rozmyślań. Podobno nie mogą się toczyć dzieje po linii prostej, bo na drodze do celu piętrzą się przeszkody, które albo się omija albo bierze. Starożytna myśl wskazała na koło jako na symbol powrotnych cykliów kulturowych, ale zarówno św. Augustyn w swym dziele „O grodzie bożym“ jak i św. Tomasz w polemice ze Sigerem z Brabantu uderzają w ten symbol, jeżeli by miał być ideałem, bo naród czy ludzkość musiały by kieratowym ruchem wiecznie krążyć koło tego samego punktu, nie podnosząc się nigdy w swej twórczości. Św. Tomasz rzucił w wieki średnie filozoficzną myśl dziejową, którą nazwałem perfekcjonizmem. Jeżeli dla niej dobrać jakiś symbol geometryczny, to będzie nim tylko wielka spirala, po której w potężnych łukach tam i z powrotem, ale ciągle w górę i w nieustannej twórczości podnosi się do Tego, którego natchniony i święty wizjoner z Patmos widział jako początek i koniec, Alfę i Omegę świata i dziejów. Jesteśmy dopiero u początku, jeszcze nic się nie skończyło z tego, co będzie naszym własnym, wewnętrznym źródłem pochodzenia dziejowego po wielkiej w górę spirali.

Znowu po latach grobowego milczenia ze wszystkich naszych dzwonów, z wawelskiego Zygmunta i z ostatniej trajkotki popłynę nam w duszę pieśń podwójnego zmartwychwstania jako przeciągły, boży zew do nowego życia i dziejowego startu.